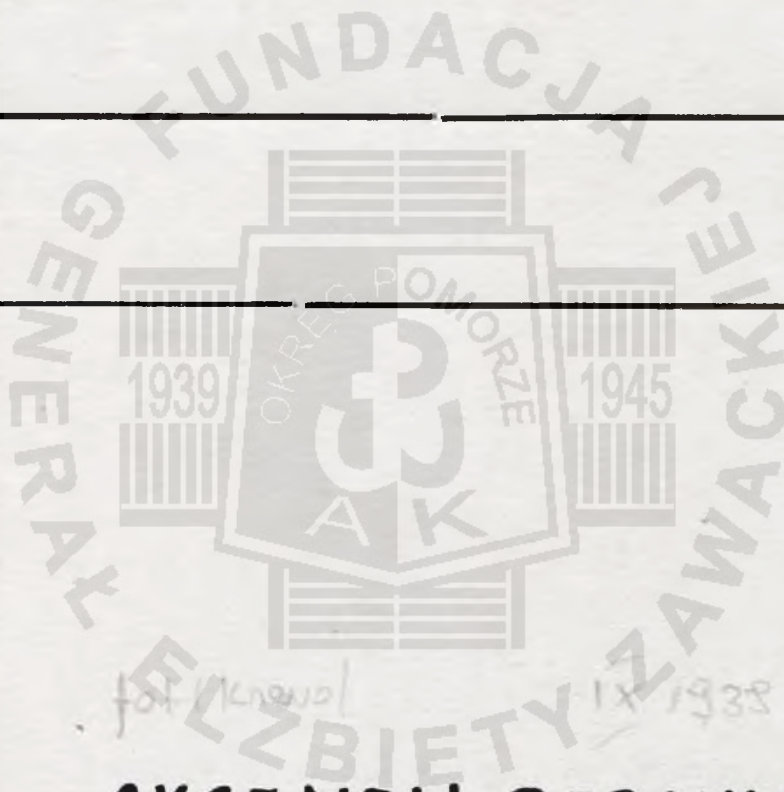


MEMORIAL  
General Marii Wittek

24 XI 2000  
D. dr. - opnac. podł

ZESKANOWANE



AK-U-w  
PLSK

AKSENOW-BERNHARDTOWA  
ZOFIA  
pł. „Mrówka”, „Świtez”  
„Ania”

2197/49K

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — AKSENOW-BERNHARDTOWA

..... ZOFIA .....

..... ps. „Mrówko”, „Świtez”, „Ania” .....

2197/WSK

I/1. Relacja

I/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora

II. Materiały uzupełniające relację U t. 6.

III/1 – Materiały dotyczące rodziny relatora

III/2 – Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r.

III/3 – Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945)

III/4 – Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r.

III/5 – inne...

IV. Korespondencja

.....  
.....  
.....  
.....

V. Nazwiskowe karty informacyjne

VI. Fotografie, 200, pkt. II, s. 76, 78, 80, 84, 86, 93, 94, 97

II Materiały uzupełniające relację:

- rozdział pt. "Daleko i blisko" z książki Stenislawa Kopta pt. "Ślady" (A.K. 6, 7. 76-94)





Zofia Aksenow i Włodzimierz Bernhardt. Anglia, 1946 rok

# DALEKO I BLISKO

„Byłam sanitariuszką w batalionie  
«Bończa» na Starym Mieście.

Nie przypuszczałam wtedy,  
w pamiętną noc z 16 na  
17 sierpnia 1944 roku, gdy nad  
Warszawą pojawiły się alianckie  
samoloty, że w jednym z nich  
był mój przyszły mąż”.

Zofia Bernhardtowa ps. „Mrówka”

Daleko i blisko. Daleko, bo mieszkają w Kalifornii. Blisko, bo Zofia i Włodzisław Bernhardtowie są myśłami i sercem w Warszawie. Odwiedzają ją co jakiś czas. Podziwiają jej obecną rozbudowę. Przecież ich córka, Joanna, urodzona za oceanem, wybrała przed laty właśnie Warszawę jako miejsce stałego zamieszkania.

Ale Bernhardtowie coraz częściej wracają paucją do tamtej Warszawy z 1944 roku. Każde z nich brało udział w Powstaniu Warszawskim. On jako członek załogi Halifaxa, niosącej pomoc walczącemu miastu. Ona jako sanitariuszka batalionu „Bończa” na Starym Mieście.

„Nie przypuszczałam wtedy, w pamiętną noc z 16 na 17 sierpnia 1944 roku, gdy nad Warszawą pojawiły się alianckie samoloty, że w jednym z nich był mój przyszły mąż” – mówi Zofia Bernhardtowa. O rodzinie Bernhardtów wspominał mi już przed laty „Ejot”, a później jego żona, Grażyna. Poznali się na emigracji w dalekiej Kalifornii. Mieszkali niedaleko siebie i spotykali się na zebraniach Koła Armii Krajowej.

Z czasem nawiązała się przyjaźń. Bywali w swoich domach. Zawsze mieli sobie dużo do powiedzenia. Poznawali swoje życiorysy, wspominając często Powstanie. Edek opowiadał o najszej ucieczce z niewoli, Włodek o swoich wojennych przygodach. Córka państwa Bernhardtów nazywała „Ejota” wujkiem. Zwierzali się sobie ze swoich problemów rodzinnych, a kiedy ktoś z nich zachorował, pomagali sobie wzajemnie.

Zanim została panią Bernhardtową, Zosia nosiła panienskie nazwisko Aksenow. Urodziła się w Warszawie 28 października 1924 roku. Jak większość tego pokolenia dorastała w atmosferze tradycji rodzinnych i zwyczajów harcerskich. Wojna dla takich jak ona stała się najważniejszym „egzaminem dojrzałości” i sprawdzianem własnej wartości.



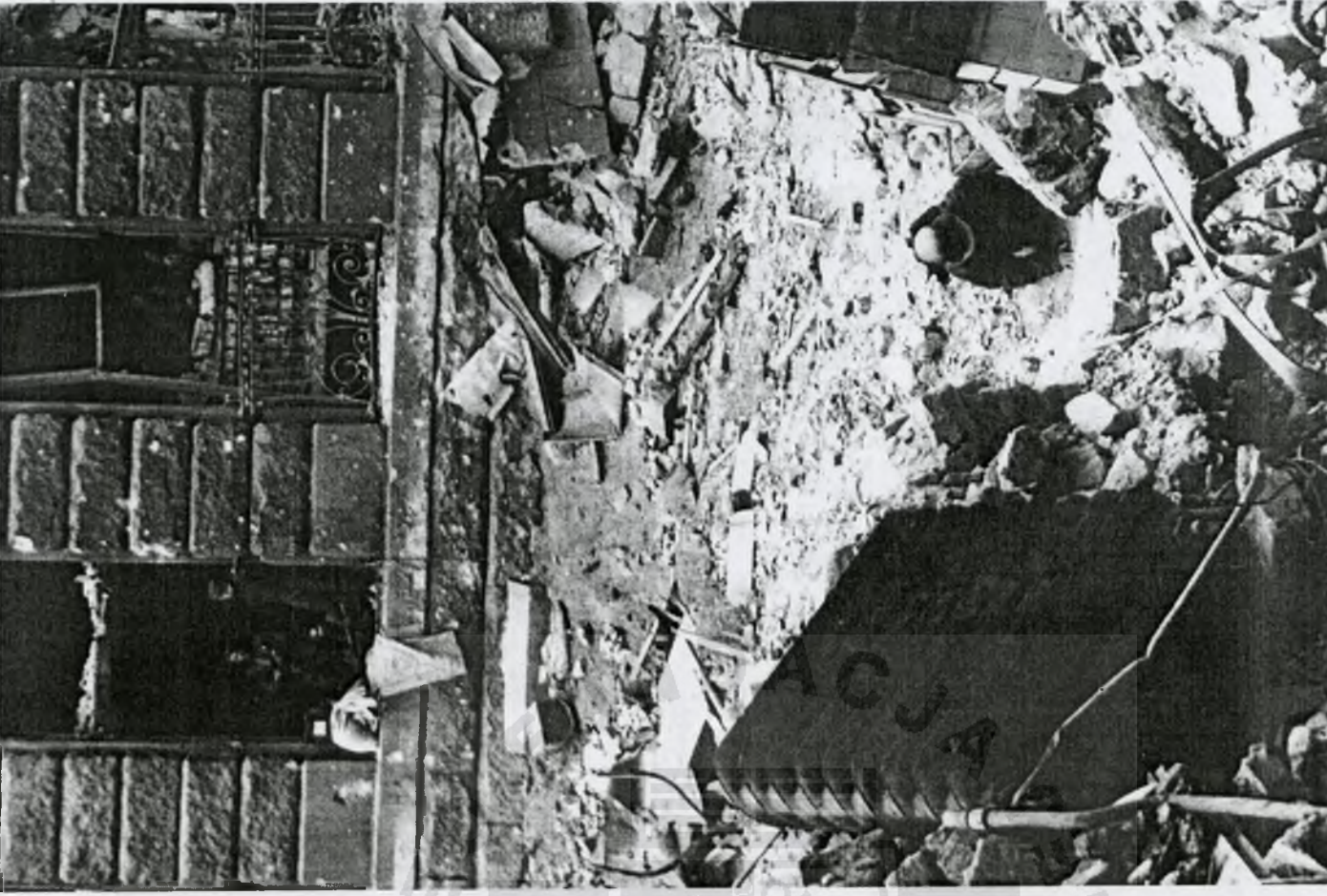
Zofia Aksenow.  
Warszawa, 1944 rok



Aleksander Aksenow –  
ojciec. Legiony, 1918 rok



Helena Aksenow –  
matka. Kalifornia,  
1998 rok



Stanowiska powstańcze w oknach budynku Poczty. Wrzesień 1944 roku



Rodzina Bernhardtów. Los Angeles, Wielkanoc 1960 roku. Od lewej: syn Witold, córka Joanna, mama Zofia, ojciec Włodzimierz, babcia Helena i syn Ryszard

Już we wrześniu 1939 roku wzięła udział jako telefonistka OPL\* w obronie Warszawy. W czasie okupacji uczyła się na tajnych kompletach i pracując w drukarni PKO na Bugaju wyносиła stamtąd ważne druki i dokumenty niemieckie na potrzeby Armii Krajowej.

W 1942 roku, po odbyciu przeszkolenia sanitarnego, została przydzielona do 101 kompanii, która w okresie Powstania walczyła w składzie batalionu „Bończa” w późniejszym zgrupowaniu mjr. „Roga”\*\*. Od tej chwili Zosia miała oficjalny pseudonim „Świtez”, ale dla znajomych była „Asią” lub „Mrówką”. W tej samej kompanii były również jej najbliższe osoby: ojciec – Aleksander Aksenow ps. „Orlik”, aresztowany w marcu 1944 roku, stryjowie Roman ps. „Malarz” i Jan ps. „Cedro” oraz stryjenka Maria Aksenow ps. „Czarna” z synami Jankiem, Zygmuntem i Olkiem, którzy pełnili funkcję łączników.

\* OPL – Obrona Przeciwiolotnicza, organizacja cywilna podporządkowana władzom wojskowym.

\*\* Major Stanisław Błaszczak ps. „Róg”.

W czasie Powstania Zosia przeżyła ciężki okres walk na Starym Mieście. Była wszędzie tam, gdzie ranni potrzebowali sanitariuszki: na placu Zamkowym, w rejonie Katedry, Celnej i Piwnej. Potem kanałami przeszła do Śródmieścia. Wzięła udział w walkach na Powiślu, a następnie w rejonie placu Napoleona, w ruinach Poczty Głównej. To właśnie tam poznałem sanitariuszkę „Mrówkę”.

Po latach spotkałem panią Zofię Bernhardtową w Warszawie. Wspominaliśmy przez kilka godzin tamte dni. To było we wrześniu na Poczcie. W ruinach, wśród zawalonych stropów, gruzów i kamieni, czuwalili ludzie z różnych oddziałów powstańczych. W nocy, wstuchani w każdy szmer, porozumiewaliśmy się szeptem. W dzień trzeba było krzyczeć, aby cokolwiek zrozumieć w huku dział, granatów i broni maszynowej.

Kolejny atak odparty. Chwila wytchnienia. Wtedy przyglądano się sobie. Najome twarze, ale trudne do rozpoznania. Tadek Ostrowski woła mnie po imieniu. Nie widzieliśmy się tyle lat. Zналиśmy się ze szkoły powszechnej. Teraz był kapralem podchorążym w 101 kompanii batalionu „Bończa”. Przyszli ze Starówki. Mieli wspólnie z nami bronić reduity Poczty. Nagle usłyszałem mój pseudonim:

– Szukają cię, „Malarz”!

Po chwili zza muru wyszła nieduża, ładna dziewczyna w poszarpanej panterce.

– Tak, to byłam ja, zdziwiona i zła. Ilu właściwie jest tych „Malarzy”? Przeżywałam jeszcze śmierć mojego stryjka, sierżanta „Malarza”\*, a tu, na Poczcie, jeszcze jeden o tym samym pseudonimie. Wtedy „Blyskawica” przedstawił mi cię, a wskazując na mnie powiedział:

– To nasza „Mrówka” ze 101 kompanii.

– Co malujesz? – zapytałam.

– Ja nie maluję, tylko rysuję – odpowiedziałeś. – Trzymałeś w ręku ołówki i jakiś szkicownik. Nie zaimponowałeś mi tym rysowaniem. Wolałam wtedy tych ze stenami, granatami i pasami z amunicją. Widocznie wyczuliś wtedy moją rezerwę, bo nawet nie naszkicowałeś mojej podobizny. Szkoda, bo kiedy w twoich albumach ujrzęłam znane sylwetki, rysowane wtedy przez ciebie, żatowałam, że nie ma tam mojej. Wierzę jednak w przeznaczenie. Nie mam wprawdzie ani rysunku, ani też żadnej swojej fotografii z Powstania, ale za to w twojej książce będzie jakiś ślad Bernhardtów.

\* Starszy sierżant Roman Aksenow ps. „Malarz”, legendarny dowódca plutonu w 101 kompanii i znakomity strzelec wyborowy, poległ 18 sierpnia w rejonie ulicy Brzozowej na Starym Mieście.

– Zosiu, wiesz dobrze, że jesteście rzadko spotykaną polską rodziną o tak bogatym życiorysie i do tego małżeństwem powstańczo-lotniczym trwającym ponad pół wieku. Wasze życie to temat do filmu przygodowego, dokumentu historycznego lub romantycznej powieści. Na razie jednak będzie to krótki zapis wspomnień.

Po kapitulacji Powstania wszystkie nasze drogi prowadziły, niestety, nie do Rzymu, ale przez Ożarów do obozów jenieckich na terenie Niemiec. Fallingbommel – ta nazwa powtarza się wielokrotnie w tej książce. Nic dziwnego, bo był to jeden z największych obozów wojennych. Istne mrowisko jeńców z całego świata.

I tu nagle rewelacja. Po raz pierwszy w dziejach ostatnich wojen i w historii obozów jenieckich na teren Stalagu XI B wkraczają kolumny kobiet – żołnierzy z Powstania Warszawskiego.

– Pamiętasz, Zosiu, ile było wtedy emocji, życzliwości i pomocy żywnościowej? Każdy z jeńców, bez względu na narodowość, szedł pod druty, za którymi stałyście, niosąc kawę, konserwy, papierosy. Nam, towarzyszom niedoli, trudno było przepchać się przez ten tłum. Zresztą po paru dniach wywieziono was do Bergen-Belsen\*, a stamtąd do obozu w Oberlangen nad granicą holenderską.

– Na początku było okropnie – wspomina Zosia. – Przeżyliśmy jakoś te sześć miesięcy niewoli, aż do 12 kwietnia 1945 roku, kiedy to żołnierze polskiej Dywizji Pancerniej generała Maczka uwolnili nasz obóz. Właściwie wiechał tam cały oddział zwiadowczy pod dowództwem podpułkownika Stanisława Koszutskiego. Wśród żołnierzy był Marian Walentynowicz\*\*, który tak wspominał to wydarzenie:

„[...] Na końcu drogi wieże strażnicze. Seria strzałów. Niemcy się podają [...] To obóz Polek z Armii Krajowej, jeńców z Powstania Warszawskiego. Szykuję aparat fotograficzny. Wtem słyszę okrzyk: Marian! Marian! Jakaś dziewczyna rzuca mi się na szyję. Przecież to Ala Gebethnerowa – znana automobilistka, żona mojego wydawcy.

Nigdy w życiu nie miałem takiego powodzenia. Trzymam w ramionach znaną aktorkę Helenę Grossównę. Calują się z dziewczczynami, otaczający mi mój Jeep. Tysiące pytań: o ojców, braci, mężów, córki i synów. Entuzjazm, radość i łzy [...]”

\* Bergen-Belsen, obóz dla jeńców. Niedaleko stamtąd był obóz koncentracyjny o tej samej nazwie.

\*\* Marian Walentynowicz (1896–1967), grafik, ilustrator książek Kornela Makuszyńskiego, m.in. *Przygód Koziołka Matołka*. W czasie wojny korespondent wojenny w Dywizji Pancerniej generała Stanisława Maczka.

– Miałymy jednak dużo szczęścia. Dla nas, dziewczyn ocalałych z poliołów Warszawy, każdy kontakt z ludźmi z innego świata był darem losu. Potem zaczęły się odwiedziny „maczkowców”, lotników, a nawet marynarzy. Byliśmy dumne z naszej polskiej armii. Oni zaś widzieli w nas nie tylko jakiegoś „damskie wojsko”, ale legendarnych żołnierzy Powstania Warszawskiego. Do obozu zaczęły napływać transporty żywności, ubrań i lekarstw. Były wruszające spotkania po latach. Podobno wraz z „Ejotem” odwiedziłście wówczas nasz obóz?

– Tak, ale nie spotkaliśmy wtedy sanitariuszki „Mrówki”. Zapamiętałam natomiast pewien fragment tej wyprawy. Otóż tego dnia dziewczęta przystępowały do spowiedzi. Była długa kolejka do spowiednika, którym był znany z konspiracji i z Powstania jezuita ojciec Józef Warszawski ps. „Ojciec Paweł”. Ten bohaterski kapłan, kawaler Krzyża Virtuti Militari, był wtedy kapelanem obozu, a poza tym bardzo przystojnym, młodym mężczyzną...

Zosia uśmiecha się i wspomina dzień 15 maja 1945 roku, kiedy to zadzwoniono wizytę w obozie generała Stanisława Maczka. Nie wiem, skąd powstał szalony pomysł smażenia faworków? Chyba z marzeń podczas obozowej głodówki.

– Zosiu, podobno te faworki zadecydowały o twoich dalszych losach?

– W pewnym sensie tak. Kiedy je smażyłam na kuchence z puszki od konserw, trzeba było jednocześnie strugać patyczki dla utrzymania płomienia.

– Faworki, jak przed wojną! – usłyszałam nad sobą męski głos. Zdażyłam zauważyć dwa paski na rękawie munduru lotnika. Chyba kapral? Poczulałam się bardzo ważna, bo miałam wtedy trzy paski plutonowego. Mówię więc rozkazującym tonem, żeby zamiast się gapić, pomógł strugać patyki. Zrobił to z wielkim przejęciem i nawet dość sprawnie. Zaprosiłam go potem na „uczte” i przedstawiłam koleżankom. Trochę się zawstydziałam, bo ów kapral okazał się oficerem lotnictwa.

Kapitan Tadeusz Czyż przyleciał ze specjalną misją do Oberlangen, aby z polecenia dowództwa RAF wyciągnąć małą grupę kobiet do służby w lotnictwie na terenie Wielkiej Brytanii. Chodził po obozie i miał problem, które spośród 1700 dziewcząt wybrać, a każda była warta wybrania. Na liście przy moim nazwisku napisał: ładna, energiczna i pyskata. Ani słowa o faworkach, choć w głębi duszy byłam przekonana, że to było głównym powodem mojego wyróżnienia.

Na początku czerwca 1945 roku wraz z grupą 87 koleżanek wyjechałam do Holandii, gdzie przez kilka tygodni w cudownych warunkach czekałyśmy transportu na Wyspy Brytyjskie. W naszej wyobraźni Anglia była krajem ludzi świetnie zorganizowanych i przychylnie do nas nastawionych.



Zosia Aksenow (z prawej) z koleżanką Elą na kursie w Wimslow. Anglia, lipiec 1945 roku

Miałymy nadzieję znaleźć w tym kraju spokój, oparcie i zrozumienie. Chyba żadna z dziewcząt nie zdawała sobie wówczas sprawy, że tam, na wyspie, każda podjęta decyzja będzie wyborem na całe życie. Niektóre z moich koleżanek twierdziły z uporem, że o wszystkim decyduje przypadek. A przy-  
padków w tamtych czasach nie brakowało.

Wkrótce okazało się, że Anglia to niezupełnie obraz z naszych marzeń. Dla środowisk polskich byliśmy ciągle „Warszawiankami”, a niekiedy bohaterkami z Powstania. Przyjemnie było tego słuchać. Anglikom nie-  
wiele mówiły nasze życiorysy, jak również nasze stopnie wojskowe. Aby zostać „Wafką”\*, trzeba było skończyć kurs rekrucy w Wimslow. Dopiero wtedy dostaliśmy piękne mundury lotnicze i charakterystyczne czapki. Przydzielono nas do baz lotniczych rozrzuconych na terenie całej Anglii. Miałymy tam pełnić różne funkcje administracyjne. Ja znalazłam się z matłą grupą moich koleżanek w miejscowości Dunholme Lodge. Moja służba polegała na biurowej pracy w wydziale, który prowadził ewidencję lotnic-  
twa polskiego w Anglii. Wpisywałam do kartotek rozkazy, przydziały, awanse odane personalne. Czasem trafiałam na nazwiska znajomych ludzi. Udało mi się wtedy nawet połączyć wiele poszukujących się rodzin. Regulamin

\* WAAF – Women's Auxiliary Air Force, Pomocnicza Służba Lotnicza Kobiet.

królewski, czyli tzw. Kings Regulation, zabraniał tego rodzaju akcji pod pozorem zdradzania tajemnic wojskowych. Chęć pomocy Polakom była jednak silniejsza, a ja nie przejmowałam się zbytnio tym regulaminem.

– Zosiu, czyżby ten okres angielski pozostał ci w pamięci jako próba powrotu do normalnego życia? Po Powstaniu i obozach to chyba była ja-  
kaś satysfakcja?

– Może ci się to wydawać dziwne, ale nie wspominam mojego pobytu w Anglii jako fizycznego i duchowego relaksu. Nie chodzi tu tylko o trudne warunki bytu (mieszkania w tzw. beczkach śmiechu)\*, o żałosny żołąd, któ-  
ry nie starczał nawet na znaczki do listów. Czuliśmy się osamotnione, oszukane i zagubione w obcym, obojętnym na nasze sprawy świecie, ze świadomością Jałty i straty Ojczyzny, o jaką walczyliśmy.

Patrzyłam na panią Zofię Bernhardtową, wzruszoną i podnieconą wła-  
snymi słowami.

– Zosiu – przerwałam. – Nam wszystkim po Powstaniu, gdziekolwiek byliśmy, brakowało własnego domu. Ale mieliśmy młodzież. Na smutki, żale i tęsknoty ona była jedynym lekarstwem. Przyznasz, że właśnie w An-  
glii jako „panna na wydaniu” byłaś obiektem westchnień wspaniałych chło-  
paków w mundurach lotniczych.

– Pewnie, że byłam, a zwłaszcza jednego, który przyjeżdżał z wizytą do koleżanek z naszej siódmej chaty, bo tak nazywaliśmy naszą „beczkę śmiechu”. Mówiono o nim, że jest lotnikiem wśród akowców i akowcem wśród lotników. Był to największy komplement, jakim darzyliśmy tylko kil-  
ku znajomych lotników.

Podobał mi się ten chłopak. Nazywał się Włodzimierz Bernhardt. Ale ja nie mogłam zapomnieć dnia, kiedy śmiejąc się zwrócił mi uwagę na nie-  
prawidłowe salutowanie, nieodpowiedni krok w czasie służbowego mel-  
dunku na lotnisku. Poczulałam się bardzo zawstydzona i unikałam go aż do momentu, gdy zjawił się na spotkanie w zastępstwie chorego kolegi. Roz-  
mawialiśmy oczywiście o Warszawie. Okazało się, że Włodek i jego rodzi-  
na mieszkali w domu przy ulicy Mokotowskiej, który ja dobrze znałam i który był własnością jego babci. Teraz już dziewczęcy z siódmej chaty wiedzieli,  
że Włodek jest „zaklepany” przeze mnie.

Jeszcze w grudniu ogłosiliśmy zaręczyny, a 6 kwietnia 1946 roku w ka-  
tedrze w Lincoln odbył się nasz ślub, którego udzielił nam ksiądz pułkow-  
nik Rafał Gogoliński. A swoją drogą ja, Zośka Aksenow, marzyłam, że jeżeli

\* W czasie wojny pomieszczenia te służyły jako połowe koszary dla żołnierzy alianckich. Budowane były z blachy falistej i przypominały swym wyglądem beczki. Polacy nazywali je „beczkami śmiechu”.



kiedyś wyjdę za mąż, to za chłopaka o prawdziwie polskim nazwisku. No i trafili się ...Bernhardt.

– Staszku, nie miałam do tej pory okazji przedstawić ci mojego męża. Został w Kalifornii. W czasie mojej nieobecności przytrafił mu się wypadek we własnym domu, na własnych schodach. Teraz będzie musiał kurować stare kości. Dlatego skracam swój pobyt w Polsce.

Jego wojenne przygody opisał sam Melchior Wańkowicz, z którym nasza rodzina była zaprzyjaźniona. Pisali o Włodku różni dziennikarze z prasy emigracyjnej i krajowej. Ale chyba będzie najlepiej, jeśli skorzystasz z jego własnego pamiętnika. Od siebie dodam tylko trochę szczegółów z jego życiorysu.

Włodzimierz Bernhardt urodził się 30 sierpnia 1917 roku. Jest synem profesora fizyki wykładającego na uniwersytecie w Liège. Po otrzymaniu matury belgijskiej przyjechał do Polski, aby odbyć służbę wojskową.

Po skończeniu szkoły podchorążych otrzymał przydział do 21 pułku piechoty „Dzieci Warszawy”, z którym wyruszył na wojnę. Brał udział w bitwie pod Kockiem. Zdołał uniknąć niewoli i dotrzeć do okupowanej Warszawy. W listopadzie, z paszportem belgijskim, wyjechał do jeszcze neutralnej Belgii. Potem Francja, a po jej kapitulacji szkoła lotnicza w Anglii. Udział w rajdach bombardujących nad Niemcy, a w 1944 roku pierwsze loty z południowych Włoch nad powstańczą Warszawę. A oto fragmenty jego pamiętnika:



Ślub Zofii Aksenow i Włodzimierza Bernhardta. Lincoln, 6 kwietnia 1946 roku

„Poleciałem na ochotnika w zastępstwie chorego członka załogi samolotu Halifax JP-200 C. Wraz ze mną lecieli wtedy: chorąży pilot Leszek Owsiany – dowódca załogi, chorąży radiooperator – Stefan Bohanes, kapitan nawigator – Władysław Schafer, st. sierżant – mechanik pokładowy – Grzegorz Denisienko, chorąży strzelec – Jan Lück, sierżant pilot – Lucjan Kretowicz oraz podporucznik nawigator – Witold Łopuszański.

Wystartowaliśmy o godz. 19.30, jeszcze za dnia. Miałem dziwne przeczucie, że już tu nie wrócę. Toteż, gdy samolot w ostrym zakręcie przelatował nad Brindisi, patrzyłem w dół, by zapamiętać każdy szczegół lotniska i miasta.

W kilkanaście minut przeszliśmy brzeg jugostowiański. Już zapadał zmierzch. Nad górami zrobiliśmy dwa głębokie uniki, bo zaszedł nam drogę jakiś nierozpoznany dwusilnikowiec niemiecki. Jeszcze tylko Tatrę na wschód od Zakopanego. Zaraz za górami w dół i zaczęliśmy iść «kosą» po Polsce.

Nareszcie Wisła. Przechodzimy na jej lewy brzeg i bierzemy kurs prosto na północ. Do Warszawy jeszcze 200 kilometrów, a już widać tunę. Ldziemy bardzo nisko. Coraz lepiej widać płonący horyzont. Wiatr wieje z Warszawy ku nam. Wnętrze napełnia się dymem, czuć spaleninę. Mijamy płonące miasto w ogniu artylerii i cekaemów. Jesteśmy nad Kampinosem. Tu gdzieś nasza placówka. Jest! Uszyszeli nas i wyłożyli światła. Idziemy dosłownie po czubkach drzew. Widzę, jak ich wierchołki pochylają się pod pędem naszego grata. Dokonujemy zrzutu i wciągamy kłapy.

Teraz już tylko kierunek na południe. Długo jeszcze świeci za nami tępina Warszawy. Znów Wisła, a przed nami Tatry. Trzeba nabrać wysokości. Zakładam maskę tlenową i nagle trzask. Jednocześnie wnętrze samolotu wypełnia zapach prochu. Zamykam oczy, bo pociski idą dosłownie tuż koło mojej głowy. Powtarzam w myśli tylko jedno słowo: Dostaliśmy ...

Mikrofon nieczynny. Zapinam spadochron i idę do Leszka. Silniki grają, są nieuszkodzone. To dodaje nadziei. Ale Leszek szarpie się ze sterami. Nie działają. Maszyna tonie. Rzucam spadochron Leszkowi i podchodzę do dziury, siadam i daję nurka. Ziemia była tak blisko, że natychmiast szarpnąłem za rączkę. Spadochron rozwija się z hukiem. Łapię się za linki, by nieco wyhamować, ale w tej samej chwili uderzam o coś nogami i czuję opór. Wylądowałem na drzewie i to w dodatku na końcu konaru kilka metrów nad ziemią. W dole jakiś wąż. Czuję, że jestem ranny w nogę. Chcę jakoś zejść, ale oślepia mnie nagle światło. To niemieckie flary, które szukają naszej załogi. W końcu udało mi się jakoś odpiąć pasy, dosięgnąć pnia i zeskoczyć na ziemię. Usiadłem pod drzewem i próbowałem zapalić papierosa. Niestety, ręce mi się trzęsły z nerwów. W końcu wyszedłem na

polną drogę. Kiedy zobaczyłem światło latarki, byłem pewien, że to Niemcy. Czekam w napięciu na: «Halt! Hände hoch!». A tu nic. Minął mnie jakiś człowiek, za którym zawolałem:

– Panie! Pan Polak?

A on:

– A co, cesarz chiński?

Spotkanie z nieznanym okazało się dla mnie zbawienne. Odprowadził mnie do znanego sobie gospodarstwa i kazał czekać.

Wkrótce przyszli partyzanci i zabrali mnie. Tak trafielem unikając niewoli do grupy «Meteor»\* – skoczka, jednego z cichociemnych. Oddział ten wchodził w skład 16 pułku piechoty Armii Krajowej.

I tak zaczęła się moja partyzancka przygoda [...]

Otoczają mnie leśni chłopcy. Ściskam na przemian dlonie «Rysiów», «Żbików», «Jastrzębi», «Wron», «Jaskółek», «Skorpionów», «Gołębi». W tej menażerii jest nawet «Kaczor» i «Kogut». Moi nowi towarzysze to ludzie z różnych stron kraju, w wieku od 15 do 55 lat, przeważnie chłopcy, rzemieślnicy i robotnicy miejscy. Ubrania ich to istny folklor. Jakies półwojskowe kurtki, porwane cywilne łachy, rozklepane buty. Ale wszyscy są uzbrojeni, uśmiechnięci i wpatrzeni we mnie. Czy im błyszczą z podniecenia. Jestem dla nich niecodziennym gościem z wolnego świata, który jeszcze parę dni temu nosił prawdziwy mundur wojskowy – marzenie każdego z tych chłopców.

Zaczynają padać pojedyncze, nieśmiałe pytania. Szybko jednak tempo wzrasta i wszyscy zaczynają mówić jednocześnie. Pytają:

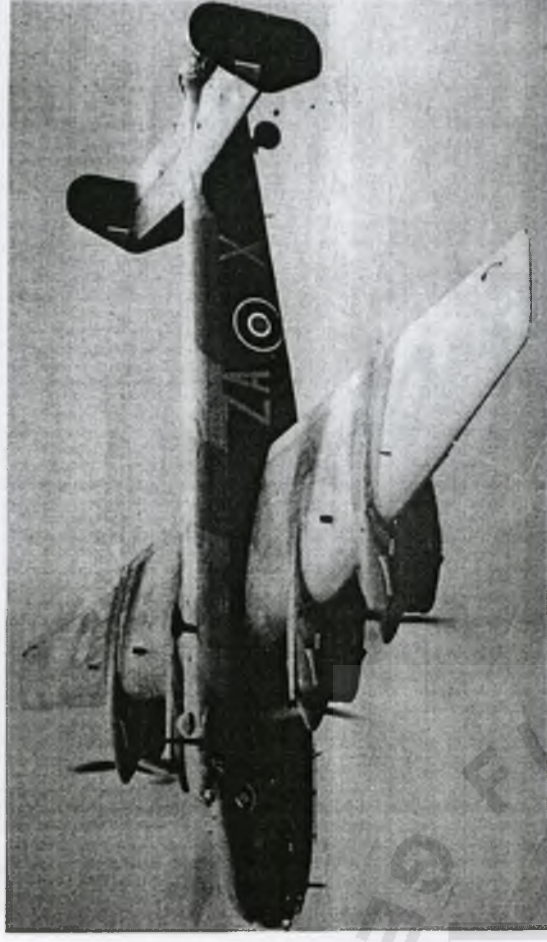
– Jak wygląda nasza polska sprawa? Kiedy przyjdzie prawdziwa pomoc dla Warszawy? Chcą wiedzieć wszystko o naszym wojsku. Staram się jak mogę zaspokoić ich ciekawość, choć nie na wszystkie pytania jestem w stanie odpowiedzieć.

Wiem już dokładnie, gdzie jestem. Wieś nazywa się Łysa Góra. Wiem, że jest to powiat Brzesko – Słotwina i że do Tarnowa tylko 25 kilometrów. Dowiaduję się o dalszych losach moich kolegów z załogi Halifaxa. Okazuje się, że Leszek Owsiany zaryzykował lądowanie przy uszkodzonych sterach. Podczas uderzenia o ziemię został ciężko ranny i dostał się do niewoli. Stefan Bohanes został zastrzelony przez Niemców, gdy opadał na spadochronie. Reszta załogi ocalała i została przejęta przez partyzantkę

Armii Krajowej [...]

Jest już koniec września. Pogoda popsuta się. Częste deszcze zmieniają okoliczne pola w jedną wielką gliniankę. Wilgoć panuje niepodzielnie.

\* „Meteor” – porucznik Zdzisław Tadeusz Straszynski.



Samolot Handley  
Page Halifax Mk II.  
Na tego typu  
bombowcu był nad  
powstańcą Warszawą  
porucznik Włodzimierz  
Bernhardt



Porucznik Włodzimierz  
Bernhardt. Anglia, 1945  
rok. 300 dywizjon  
bombowy



Porucznik Włodzimierz Bernhardt (siedzący w środku) wśród partyzantów 16 pułku piechoty Armii Krajowej

Przypomina się Anglia, tylko że tam człowiek miał odpowiednią bieliznę, mundur, płaszcz, a tu trochę mniej luksusowo.

Siedziemy wieczorem w ziemiance, deszcz leje, zimno i mokro, nastrój ponury. Nagle odzywają się organki. Smutna, tęskna melodia w sam raz na dzisiejszy wieczór. Parę głosów podchwytuje i po lesie rozchodzi się partyzancki śpiew.

*Deszcz, jesienny deszcz, smutne pieśni gra,  
Mokną na nim karabiny, hełmy kryje rdza.  
Nieś po błocie w dal, w zachlapany świat  
Przemoczone pod plecakiem osiemnaście lat.*

[...] Wczesnym rankiem z głębokiego snu wrywa mnie gwałtowna strzelanina. Skaczę na równe nogi. Zdżicha już nie ma. Jurek właśnie zniknął za drzewami. Jestem sam w opustoszałej zupełnie ziemiance. Piorunem ubieram się przy akompaniamencie strzałów, tupotu biegnących na stanowiska. W końcu wyskakuję i ja. Colt kołysze się na sznurze, bergmana trzymam w rękę i biegiem udaję się na moje stanowisko [...]

Przychodzi meldunek, że we wsi kilka ciężarówek pełnych Niemców. Teraz idą na las. Jest ich około dwóch kompanii SS, pluton żandarmerii i trzy moździerze. «Meteor» spokojnie przygląda się niemieckiej tyralierze. Nie wolno strzelać. Czekamy na rozkaz otwarcia ognia. Szkoły są coraz bliżej, zachowują się bezczelnie, idą wolno, nie kryjąc się.

Na to tylko czekał «Meteor». Pada strzał z jego colta. W tym samym momencie cała nasza linia otwiera ogień. Lecą granaty.

Wśród Niemców zamieszanie. Ale ich broń maszynowa zabija naszych dwóch partyzantów. Wybuchają pociski z moździerzy. Ziemia zasypuje nam oczy. Im jednak jest gorzej. Zaczynają się wycofywać. Słyszemy nawoływania: Zurück!

Ale to tylko przegrupowanie. Niemcy ruszają znów do natarcia. Tym razem ostrożnie i stanowczo. Esesmani są już w lesie. I nagle polskie: Hurra! Chłopczy wyskakują spoza drzew waląc z peemów. Lecą z nimi i wtedy w obu nogach czuję silny ból. Gorączkowo dotykam ręką porwanych portek... To krew. Jestem ranny. Zjawia się «Meteor».

- Oberwateś – pyta – widziałem, jakżeś poleciał łbem do przodu.
- Po nogach – mówię – kości całe.
- Wracaj do obozu, tu zaraz będzie koniec, już się ściemnia, oni odchodzą.

Robię sobie prowizoryczny opatrunek i próbuję iść w stronę obozu. Każdy krok sprawia mi ból sięgający wyżej kolana. Siadam na jakimś priaku. Jest mi gorąco i słabo.

– Trzeba nam się na jakiś czas rozstać – słyszę głos Zdziszka. – Furmanka weźmie cię do Sałaty, tam poleżysz. Doktor się tobą zajmie no i obie Sałacianki. Są przecież dyplomowanymi sanitariuszkami.

Chłopcy wzięli mnie na nosze. Wolno znieśli po zboczach parowu. Mnie znów szumi w uszach i boli głowa. Chwilami tracę przytomność. Słyszę skrzyp wozu. Składają mnie na słomie i narzucają jakieś snopki, czy coś innego, tak że tylko twarz mi widać. Woźnica cmoknął na konie, wóz ruszył. Tuż po wyjechaniu z lasu, gdy skręcił w polną drogę, straciłem przytomność...

Po wygojeniu ran przewieziono mnie na wyznaczone miejsce, gdzie miał się odbyć przerzut lotniczy do Anglii. Było tu sporo takich jak ja ze strzelonych lotników i uciekinierów brytyjskich z obozów jenieckich. Ale jako lotnik wiedziałem, że jest to niemożliwe. Żaden samolot nie mógłby tu wylądować i wystartować, gdzie po jesiennych deszczach ziemia stała się jedną, gliniastą mazią. Był rozkaz, więc czekaliśmy.

Tak upłynął grudzień i pierwsza połowa stycznia, aż do dnia, kiedy wkroczyła wojska sowieckie. Kończyła się na tym terenie okupacja niemiecka i zaczynała działać nowa władza, a wraz z nią NKWD. Byłem jedynym Polakiem w grupie jeńców brytyjskich, dlatego wolałem podać się za Kanadyjczyka. W końcu zorganizowano duży transport i pojechalśmy w kierunku Odessy, a stamtąd angielskim frachtowcem do Anglii.

Zdażyłem jeszcze przed końcem wojny zameldować się w moim rodzinnym dywizjonie i odbyć dwa loty bombowe nad Niemcy. I wreszcie nastąpił pokój, a wraz z nim trudny czas wyboru przyszłości dla młodego Polaka na wychodźstwie. Pierwszym wyborem była drobna blondynka, która wkrótce została moją żoną. Postanowiliśmy z Zosią na razie nie wracać do kraju, zwłaszcza że dobry los został nam ocaloną z Powstania mamę Zosi.

Przeżyła gehennę Starego Miasta i obozy w Niemczech. Po uwolnieniu przez aliantów dotarła do Włoch. Tu z pomocą wojskowych biur 2 Korpusu i PCK poszukiwała rodziny. Wiadomość o naszym pobycie na terenie Anglii dotarła do mamy Zosi w momencie, gdy była już w pociągu repatriacyjnym odjeżdżającym do kraju. Natychmiast zmieniła decyzję i w ciągu paru dni zjawiała się u nas."

– Po ślubie nadal byliśmy na służbie Jego Królewskiej Mości – wspominała Zosia Bernhardtowa. – Wynajęliśmy mieszkanie poza obrębem bazy wojskowej. Mielśmy wtedy wielu przyjaciół. Dom nasz był zawsze otwarty dla moich koleżanek i kolegów Włodka. To był krótki, ale najlepszy dla nas okres pobytu w Anglii. Jeszcze wtedy myśleliśmy o powrocie do kraju, ale listy i dramatyczne relacje żołnierzy Armii Krajowej, którym udało się przedostać na Zachód, utrwaliły nas w przekonaniu, że pozostaniemy na emigracji.

Po demobilizacji przenieśliśmy się do Londynu. Włodek otrzymał stypendium i rozpoczął naukę w School of Economics. Ten etap londyński nie był łatwy. Trudno było pogodzić naukę z pracą. Większość zdemobilizowanych żołnierzy polskich starała się o wyjazd za ocean. Zresztą Anglicy z chęcią pozbywali się Polaków i gotowi byli z kasy królewskiej pokryć nawet koszty podróży.

Wreszcie zapadła decyzja. W połowie kwietnia 1952 roku cała rodzina Bernhardtów, a więc nas dwoje, siedmiomiesięczny syn Witold i moja mama, odpłynęła do Stanów Zjednoczonych. Pierwszym, krótkim przystankiem było Chicago. Mimo gwarancji polskiego sponsora i możliwości pracy miasto nie zrobiło na nas dobrego wrażenia. Toteż natychmiast zdecydowaliśmy się jechać dalej. Naszym celem była Kalifornia.

– To było chyba duże ryzyko. Byliście już wtedy czteroosobową rodziną? Czy tam, nad Pacyfikiem, mieliście jakies oparcie, przyjaciół i perspektywy pracy, mieszkania?

– Staszku, sam mi przypomniałeś, że wtedy przy podejmowaniu decyzji pomagała nam nasza młodość i jakiś szalony optymizm. Może chęć



Z wizytą u Wańkowiczów w Warszawie, 1963 rok. Od prawej: Zofia Wańkowiczowa, Melchior Wańkowicz, Zofia Bernhardtowa i Zofia Romanowiczowa. Patrząc na nas Wańkowicz powiedział: „Zawiodłem się na własnej teorii. Zawsze twierdziłem, że jak są dwie Polki, to jedna musi być Zosia, a tu trzy i wszystkie Zosie”



Corona del Mar, październik 1996 roku. Od prawej: babcia – Helena Aksenow, Zofia Bernhardt, córka Joanna (w czasie wizyty u rodziców) oraz Włodzimierz Bernhardt

poznania świata. W każdym razie w Kalifornii nie mieliśmy żadnego oparcia. Trzeba było zacząć życie od nowa nie licząc na konkretną pomoc. To była naprawdę walka o byt.

Początkowo mieszkaliśmy w Los Angeles, gdzie w 1952 roku przyszła na świat nasza córka, Joanna. Włodek znalazł w końcu pracę. Przeszedł przez wszystkie szczeble, począwszy od pracownika stacji benzynowej, sprzedawcy aż do posady w fabryce komputerów, gdzie, awansując, osiągnął wysokie stanowisko służbowe (Material Production Control Manager). Ta praca go pasjonowała. Obecnie jest już na emeryturze.

Wkrótce i ja zaczęłam pracować. Początkowo jako pracownik biurowy w Zakładzie Ubezpieczeń („Pacific Mutual Life”). Stopniowo awansowałam na wyższe stanowiska, dochodząc do funkcji superrewizorki. W 1957 roku urodził nam się syn, Ryszard. Było nas już wtedy sześcioro. Ale tylko jednej osobie zawdzięczaliśmy nasze istnienie jako rodziny. Nietrudno zgadnąć, że była nią moja mama, czyli nasza cudowna „Babcia Bernhardtowa” – bo tak nazywali moją mamę nasi polscy przyjaciele. Dzięki niej mogliśmy oboje pracować. To ona prowadziła dom i zajmowała się dziećmi. Jej uśmiech, poczucie humoru i optymizm pomagały nam w rozwiązywaniu problemów codziennego życia. Ale „Babcia Bernhardtowa” była również wielką patriotką i myślę, że zastępuje na osobną wzmiankę w tej książce.

Helena Aksenow z domu Kozłowska urodziła się w Warszawie 2 marca 1903 roku. Straciła matkę, gdy miała zaledwie 4 lata. Smutne i trudne dzieciństwo nie odebrało jej radości życia. Dotkliwie odczuła brak matki i może dlatego przez całe swoje życie otaczała mnie i całą moją rodzinę matczyną opieką. Po ślubie z moim ojcem, Aleksandrem Aksenowem, życie ich pełne było radości i marzeń, aż do tragicznego września 1939 roku. Moja mama, mimo że nie złożyła oficjalnej przysięgi, była całkowicie zaangażowana w nasze sprawy. Udawała, że nic nie wie o mojej i ojca działalności konspiracyjnej. Nie pytała o nic. Uważała, że tak trzeba. Wiedziała o magazynie broni w naszym mieszkaniu. Pomagała z uśmiechem w wyszukiwaniu nowych skrytek na pistolety. Jednocześnie dbała o bezpieczeństwo całej rodziny. Nie udało się jednak uchronić ojca przed aresztowaniem i wywózką do obozu w Stutthofie, gdzie zginął. W Powstaniu na Starym Mieście moja mama zastępowała chłopców ich matki.

O dalszych jej losach i o cudownym odnalezieniu wiesz już ze wspomnień Włodka. Szaleliśmy z radości, że mama jest już z nami. Towarzyszyła nam, gdziekolwiek rzucił nas los. Była wszystkim potrzebną. Nasi przyjaciele darzyli ją szacunkiem i miłością, a ona dzieliła się z nami wspomnieniami z prawdziwie warszawskim humorem. Do końca działała w Kole Polskich Seniorów. Pozostała w naszej pamięci jako osoba szlachetna, prawa, oddana bez reszty Bogu i Ojczyźnie. Zmarła 22 lutego 1999 roku.

W 1972 roku opuściliśmy Los Angeles i przenieśliśmy się do odległej o 80 kilometrów pięknej, nadmorskiej miejscowości Corona del Mar. Tu, w Kalifornii, odległości nie odgrywają takiej roli jak w Europie. Toteż utrzymujemy nadal kontakt z dawnymi przyjaciółmi. Czujemy się jak wielka rodzina, w której „ciocie z AK” i wujkowie „lotnicy” są dla naszych dzieci i wnuków postaciami historycznymi. W naszym Kole Samopomocy mamy ciągle pełne ręce roboty. Przez cały czas śledzimy sytuację w Polsce. Organizujemy pomoc dla kolegów inwalidów w kraju. Zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy w dużo lepszej sytuacji niż nasi rówieśnicy w Polsce i że mogliśmy tu więcej uczynić dla kraju, niż powracając do niego przed laty. Wiemy też, że tam, nad Wisłą, są nasze korzenie i żadna grupa emigrantów nie zastąpi 40-milionowego narodu.

Ale być w Kalifornii, mieszkać we wspaniałej willi nad Pacyfikiem, mieć na co dzień Los Angeles i Hollywood, może zagrać w jakimś filmie lub przynajmniej w kasynie w Las Vegas – to marzenia polskich dzweczkał, sen o szalonej karierze, wygranych konkursach i wielkich pieniądzach. A tu Amerykanka polskiego pochodzenia, urodzona za oceanem, po osiemnastu latach pobytu w Kalifornii wybiera Polskę.

To nasza kochana Joasia. Po ukończeniu ekskluzywnej szkoły dla dziewcząt zdecydowała się na studia uniwersyteckie w Warszawie. Od maja 1970 roku jest w kraju. W pierwszym okresie pomagał jej stryjeczny brat Włodka, Maciej Bernhardt, obecnie profesor Politechniki Warszawskiej. Jako żołnierz Armii Krajowej 16 sierpnia 1944 roku podejmował lotnicze zrzuty na terenie Puszczy Kampinoskiej. Nie wiedział nic o bracie. Szukali się po Powstaniu. Spotkali się dopiero po wojnie.

Tymczasem Joasia ukończyła biochemię, zrobiła doktorat, a w 1974 roku wyszła za mąż za studenta medycyny Mieczysława Śmigielskiego. Obecnie jej mąż jest urologiem dziecięcym w Centrum Zdrowia Dziecka. Mają czworo dzieci, trzech synów i jedną córkę. Joasia prowadzi firmę tłumaczeń naukowych. Wiemy, że nie żałuje wyboru. Odwiedzamy ich często. Jesteśmy świadomi zbliżającego się kresu naszego Kolumbowego pokolenia. I znów, jak kiedyś, jesteśmy we dwoje, gdzieś za oceanem, w domu, do którego prowadzą ślady Polski Walczącej i biało-czerwonej szachownicy.

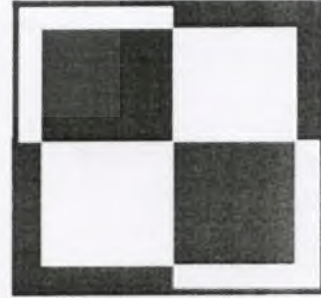
Byłem kiedyś na uroczystym odsłonięciu tablicy w Warszawie w miejscu, gdzie w czasie Powstania spłonął wraz z załogą zestrzelony „Liberator”. Podczas apelu poległych padły nazwiska brytyjskie i polskie.

Muszę panu coś powiedzieć – usłyszałem głos stojącej obok starszej, siwej pani. Mówiła przez łzy.

– My, sanitariuszki, dziewczęta z AK, modliłyśmy się wtedy za nich.

– Mój Boże... ilu ich wówczas nie wróciło znad płonącej Starówki...

Wspominając to wydarzenie, pomyślałem, że może dzięki modlitwom tamtych dziewcząt mógł powstać ten rozdział książki.



Pod Pomnikiem Armii Krajowej i Polskiego Państwa Podziemnego w 55 rocznicę wyzwolenia obozu w Oberlangen stoją „dziewczęta z tamtych lat”. Od lewej: Daniela Hausman ps. „Dasia”, Zofia Bernhardtowa ps. „Mrówka” oraz Irena Sołtysiak ps. „Maruta”. Warszawa, 12 kwietnia 2000 roku

Knoro z kniezki "Ślady" - autor Stewinow Kopt.  
n. 76-97 Warszawa 2000 r.



II Materiały uzupełniające relację

- s. Kopf, Ślady, Warszawa 2000, mp.s, kopia, k. 6, s. 1-11





AKSĚNOW-BERNHARDTOWA  
ZOFIA

